

kącika ni to miedzami, ni to wąskimi zagonami rozdzielającymi pola, ponieważ rosły na nich w rzędach lub kępach krzaki dzikich róż, derenia i czarnego bzu. Między wsią i rzeką znajdował się wyraźnie wyższy pagórek, nazywany przez mieszkańców górą. Tam stał z lekka przysłonięty drzewami kościół, a przy nim mały parafialny dom.

Pewnego letniego dnia, niemal w samo południe, wracałem do siebie z siatką ziemniaków kupionych u zaprzyjaźnionego gospodarza. Tym razem obrałem inną drogę, bliżej kościoła, za którym skręciłem na ścieżkę między dwoma łanami pszenicy. Dalej ciągnęła się rozległa łąka. Gdy usłyszałem wołanie, byłem w pustej przestrzeni pozbawionej drzew. Głos z bliskiej odległości biegł w moim kierunku, ale ani przede mną, ani na horyzoncie nikogo nie było. Obróciłem się i wtedy bardzo wyraźnie usłyszałem swoje imię oraz zobaczyłem uśmiechniętego księdza machającego ręką. – Ki diabeł? – pomyślałem i chociaż księdzu najwyraźniej o mnie chodziło, nadal wypatrywałem kogoś wśród zbóż.

– No i co się tak rozglądasz? Ja się podobno nie zmieniłem, no a ty już niedługo będziesz starym dziadem. Nie lepiej było zostać dzieckiem? – pytał ksiądz, który w międzyczasie mnie dogonił. Roześmiałam, z twarzą skierowaną ku słońcu, patrzył, cierpliwie czekając.

– Ksiądz Deres... – wyszeptalem i wciąż bacznie przyglądając się, zapytałem: – Skąd ksiądz wiedział, że to ja?

– Najpierw chciałem zawołać „Józek”, ale od czego rozum. Zastanowiłem się i wyszło, że to musisz być ty, nie Leszek, bo on od dziecka inaczej się poruszał, a ty zupełnie jak ojciec – wyjaśnił.

Rozmowa chwilę trwała. – Zadziwiające spotkanie – kręciłem głową, patrząc na Deresa.

– Oj Stefan, Stefan! W życiu zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Jeszcze się o tym przekonasz. A teraz mógłbyś zdradzić, co tu robisz? – Łowię ryby. Nad rzeką mam namiot – powiedziałem, a on natychmiast zaoferował gościnę na plebanii. Odparłem, że jestem już przyzwyczajony do noclegów nad rzeką, ale obiecałem przyjść z wizytą. Zapytał jeszcze o ojca. Wpadłem na pomysł, że tata nie żyje i że mama cały czas siedzi u znajomych na Mazurach.

Przez to spotkanie skróciłem pobyt. W domu było mi łatwiej zastanowić się, co powinienem zrobić, żeby wybrnąć z sytuacji. Ze swojej rzeki zrezygnować nie miałem ochoty, ale o rodzinie prawdy powiedzieć też nie zamierzałem. Byłem zły, że uśmierciłem ojca, ale gdybym powiedział prawdę – usprawiedliwiłem siebie – to za kilka dni ten dziarski księżulo na pewno byłby w Gdańsku, a do tego dopuścić nie chciałem. Zatem należało skonstruować całą historię na tyle spójną, by okazała się wiarygodna, a wszystkim po to, żeby nadal jeździć na ryby w ulubione miejsce.

Tak zaczęła się nasza historia. Po jakimś czasie zajrzałem do niego. Przyjął mnie całym sercem i tym, co miał, a zgodnie z prawdą, nie miał nic. Od dawna żył jak mnich, o siebie nie

dbał, istniał wyłącznie po to, by troszczyć się o parafię. Powitał mnie informacją: – Zaraz po naszym spotkaniu odprawiam mszę za Józefa. Myślałem, że się zjawisz, że tak wcześnie nie wyjedziesz. Ale to nic. Jutro odprawimy drugą, pomodlimy się razem.

O takim efekcie kłamstwa nie pomyślałem. Dziękowałem, piłem kawę i ustalałem godzinę kolejnej mszy, a we wnętrzu coś bulgotało, coś swym buntem zawstydzalo.

Spotkania powtarzały się, były coraz ciekawsze. Deres, tak jak ja, interesował się malarstwem, ale z różnych spotkań, ze względu na podobną wrażliwość na piękno przyrody, utkwiło mi w głowie jedno.

To był początek lata. Nic nie zapowiadało nadzwyczajnej pogody. Co rusz niebo raczyło ziemię deszczem, ale w końcu chmury rozbiegły się w różne strony, zostawiając po sobie nieprzyprószony najmniejszym pyłkiem błękit. Sypnęło żarem. W ten pogodny czas, na przełomie czerwca i lipca wziąłem urlop i zjechałem nad rzekę na cały miesiąc. Moje stałe miejsce uzupełniłem o palenisko zbudowane z kamieni i darowanego przez kogoś rusztu ze starego pieca. Odkąd mogłem zostawiać na plebanii turystyczny ekwipunek, zmieniłem namiot w małego na duży z obszernym przedścionkiem, w którym trzymałem z jednej strony sprzęt wędkarski, a z drugiej przybory i zapasy kuchenne.

Któregoś bardzo wczesnego ranka, gdy byłem między snem a jawą, usłyszałem jakby hurkot. Pierwsza, jeszcze mało świadoma myśl podsunęła mi obraz kamieni toczonych przez rozszalałą wodę, w dodatku tuż pod namiotem. Rozsunąwszy zamek, wychyliłem głowę, by zetknąć się nos w nos z Deresem.

– Masz jakąś patelnię? Bo ja tak sobie szedłem, a tu takie piękne kanie! Widzisz? – zapytał, pokazując dorodne, wielkości talerza, mięsiste czapy. – Więc, jeżeli masz patelnię, to przyrządź pyszne jedzenie. Ogień rozpałiłem.

– Która godzina? – rzuciłem, ziewając. – Coś koło piątej – odpowiedział tak naturalnie, jakby to była właściwa pora na śniadanie. – Koło piątej?! To po co...

Nie skończyłem, bo przebłyskiem świadomości pojąłem, do kogo mówię. W tej sytuacji należało na dobre otworzyć sklezione snem oczy, co starałem się zrobić między jednym a drugim ziewnięciem, i gdy się to po części udało, zamruczałem, kręcąc się bezradnie: – Ale ja chyba mam coś podać. Patelnię? Tak? Czy tylko patelnię? – pytałem, by upewnić się, że taka prośba naprawdę padła. – No, jakbyś miał, to jajko i jakiś talerzyk, bo muszę je zrobić. Przyrządzone jak kotlety są smaczniejsze.

Chód ranka pomógł mi podjąć sensowniejszą decyzję. Podpiąłem kłapę namiotu i zapraszając Deresa, powiedziałem: – Proszę księdza, tu jest cały mój kuchenny kram. Proszę się gospodarzyć, a ja skoczę do wody, bo skoro się obudziłem, to wypada się umyć.

– No tak, no tak. Idź! – przytaknął i dodał: – Nim się wychłapiesz, ja przygotuję śniadanie. Od tego dnia spotykaliśmy się nad rzeką czę-

ściej. Pory były różne, zależały od Deresa, od czasu, który mógł poświęcić sobie. Siadaliśmy przed namiotem w przekonaniu, że prowadzimy ciekawe rozmowy, że gawędzimy o świecie i ludziach, gdy tymczasem obaj chcieliśmy coś znaleźć lub od czegoś uciec. Różniły nas koleje losu, zasób doświadczeń związanych z wiekiem, charaktery i pragnienia, ale potrzebę bliskości drugiego człowieka mieliśmy wspólną. Ważne było więc to, że jesteśmy razem.

Prawdziwych powodów spotkań nie dociekałem, sądziłem, że łączą nas strzępki wspomnień sprzed lat i sympatia, skądinąd niczym niepotwierdzona.

Polubiłem te spotkania, szczególnie wieczorne, przy ognisku, przy kolorowym niebie i zachodzącym słońcu, które wieczorami świeci na opak – nie z góry, a z dołu i nie po to, by wydobyc jakiś godny pokazania szczegół, lecz by go ukryć. Któryś z nas zauważył, że słońce, zanim schowa się za horyzont, lubi pożartować, bo chyba tylko z przekory tak operuje delikatnym światłem, by owijając aksamitem dzikie kwiaty palki wodnej, uszlachetnić je, by zwykle patyki pozamieniać w buławy, za którymi stoją pułki zbrojne w zielone szable. Dość często komentowaliśmy zaobserwowane zjawiska, jednak najczęściej porzucaliśmy rozmowę, by wsłuchać się w delikatny szum rosnących przy brzegu trzciny lub podziwiać wstęgę rzeki przekształconej kuglarskimi sztuczkami w rozwinięty kupon mieniącego się, przedniego jedwabiu. Wtedy zazwyczaj każdy z nas nieruchomiał. To były krótkie chwile, w których realizowała się tkwiąca gdzieś pod skórą potrzeba zespolenia z piękną i pełną niespodzianek naturą.

Raz zaskoczył nas deszcz. Schowani w namiocie czekaliśmy, sądząc, że ta nagła ulewa minie, a tymczasem rozpadało się na dobre. Dla zabicia czasu graliśmy w karty, przy których zastała nas noc. To właśnie wtedy Deres, odchodząc do domu, wpadł na pomysł zorganizowania nocnego połowu. Był w wieku mego ojca, ale miał lepsze zdrowie lub taki charakter, który nie pozwalał myśleć o chorobach i starości.

Deres doskonale znał rzekę, wiedział więc, że trochę w górę od namiotu, w lesie, jest mały skrawek brzegu oczyszczony przez kogoś z zarośli, akurat taki, by urządzić tam łowisko. Przed umówionym dniem sprawdziłem, czy dno jest czyste, czy gałęzie rosnących drzew nie zwisają zbyt nisko i czy trzeba się dodatkowo w coś zaopatrzyć. Chciałem dokupić drugie krzeselko z oparciem, bo jedno już było. Ostatecznie swoje oddałem księdzu, a sam postanowiłem przesiedzieć noc na mniejszym, niewygodnym składaku. Pamiętałem też o jedzeniu, przygotowałem sporo kanapek, żeby starczyło dla obu.

cdn.

